

PANNA. POTWÓR. MĘCZENNIK.

OKNO
SKĄPANE
W MROKU

TAJEMNICE KRÓLA SHEPHERDA #1

RACHEL
GILLIG



Copyright © 2023

Rachel Gillig

Wydawnictwo Nowe Strony

All right reserved

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Sandra Pętecka

Edyta Giersz

Joanna Boguszewska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-898-5

RACHEL GILLIG

OKNO SKĄPANE W MROKU

TAJEMNICE KRÓLA SHEPHERDA #1

TŁUMACZENIE
ALEKSANDRA GÓRCZYŃSKA

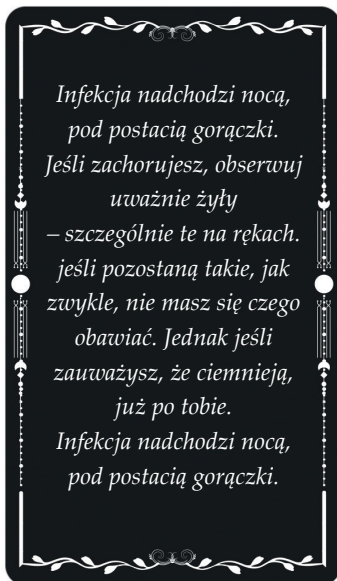
OŚWIĘCIM 2023

*Dla cichych dziewcząt, z głowami w chmurach.
Dla ich marzeń – i ich koszmarów.*



CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Miałam dziewięć lat, kiedy uzdrowiciele przyszli po mnie po raz pierwszy.

Mojego wujka i jego ludzi nie było w domu. Kuzynka Ione i jej bracia bawili się w kuchni, przez co moja ciotka nie usłyszała walenia do drzwi. Zorientowała się, co się dzieje, dopiero gdy mężczyźni w białych kitlach pojawili się na środku jej salonu.

Nie miała czasu, żeby mnie ukryć. Spałam, zwinięta niczym kot, odpoczywając na parapecie. Potrząsnęła mną, jej głos był ochrypły ze strachu.

– Uciekaj do lasu – wyszeptła, uchylając okno, i delikatnie wypchnęła mnie na zewnątrz.

Niestety nie upadłam na miękką, nagrzaną letnim słońcem trawę. Moja głowa uderzyła o kamień, a ja zamrugałam, walcząc z mdłościami, wywołanymi zawrotami i majaczącymi mi przed oczami ciemnymi plamami. Poczułam, jak moją czaszkę pokrywa gorąca, lepka krew.

Słyszałam, że obcy chodzą po domu, ich kroki były ciężkie od złowrogich zamiarów.

Wstawaj, rozbrzmiał głos w mojej głowie. Wstawaj, Elspeth.

Podniosłam się na chwiejnych nogach, rozpaczliwie próbując ruszyć w kierunku linii drzew znajdujących się po drugiej stronie ogrodu. Spowiła mnie mgła i chociaż nie miałam przy sobie swojego talizmanu, skierowałam się ku drzewom.

Jednak ból w mojej głowie okazał się zbyt silny.

Ponownie upadłam, a sącząca się z głowy krew skapywała mi na szyję. *Złapią mnie, zapłakałam, czując, że ze strachu tracę zmysły. A potem zabiją.*

Nikt cię nie tknie, dziecko, burknął w odpowiedzi głos. A teraz wstawaj!

Próbowałam, naprawdę. Zawzięcie. Jednakże uraz był na tyle poważny, że po pięciu desperackich krokach – znajdując się tak blisko skraju lasu, że mogłam poczuć jego ziemisty, wilgotny zapach – upadłam nieprzytomna na ziemię.

Teraz już wiem, że to, co zdarzyło się później, nie było snem. Nie mogło nim być. Kiedy ludzie tracą przytomność, całkowicie się wyłączają. Nie są wtedy w stanie śnić. Dlatego wiem, że to wcale nie był sen. A jednak nie umiem inaczej nazwać stanu, w którym się wtedy znalazłam.

Zaczęła we mnie wnikać mgła, gęsta i ciemna. Nadal znajdowałam się w ogrodzie ciotki. Moje zmysły wzroku i słuchu były nienaruszone. Mogłam nawet poczuć powietrze czy to, jak twarda była ziemia, na której spoczywała moja głowa. Jedyne, czego nie byłam w stanie zrobić, to się poruszyć.

Pomocy, załkałam cienkim głosem. Pomóż mi.

Wewnątrz mojego umysłu rozbrzmiały kroki, ciężkie i niecierpliwe. Po policzkach spływały mi łzy. Zamrugalam, próbując coś dostrzec, ale bez powodzenia. Wzrok miałam zamglony, odnosiłam wrażenie, jakbym próbowała dojrzeć coś pod wodą.

Przeraźliwie ostry ból rozszedł się po moich ramionach, a siateczka żył ukrytych pod skórą nagle pociemniała, zamieniając płynącą w nich krew w czarny tusz.

Krzyczałam. Krzyczałam, dopóki nie pociemniało mi w oczach, a otaczający mnie świat nie zniknął.

Obudziłam się pod drzewem starej olchy, osłonięta mgłą i bujną, leśną roślinnością. Ból, który czułam w żyłach, zniknął. Jakimś cudem, pomimo rozcięcia na głowie, udało mi się dostrzec na krawędź lasu. Uciekłam uzdrowicielom.

Będę żyć.

Oddychając głęboko, zaszlochałam ze szczęścia, mój umysł nadal walczył z powoli ustępującą paniką, która próbowała mnie ogarnąć.

Tak było, dopóki nie usiadłam, a moich rąk nie przeszył ból. Spojrzałam w dół. Dłonie miałam zdarte do żywego mięsa, a palce mokre od krwi w miejscu, gdzie połamalam paznokcie. Trawa wokół mnie była mocno wzruszona. Coś albo ktoś ją zgniótł.

Coś albo ktoś pomógł mi bezpiecznie doczołgać się przez mgłę.

Nigdy mi nie powiedział, jak tamtego dnia poruszył moim ciałem, ratując mnie. To był jeden z jego wielu sekretów, milczących tajemnic spowijających ciemność, którą wspólnie dzieliliśmy.

A jednak wtedy po raz pierwszy przestałam się bać Koszmaru – głosu w mojej głowie, potwora z niepokojącymi żółtymi oczami i upiornym, głębokim głosem. Po jedenastu latach całkowicie przestałam się go bać.

Nawet jeśli wciąż powinnam.

Tamtego ranka ruszyłam przez las w stronę miasta, chcąc spotkać się z Ione. Deszczowe chmury przysłoniły śliską, gęsto porośniętą mchem ścieżkę. Las, błotnisty i wilgotny, gromadził w sobie wodę, jak gdyby przygotowywał się na nieuchronną zmianę pory roku. Pośród szmaragdowej zieleni gdzieniegdzie wyróżniały się krzewy derenia, a jego czerwono-pomarańczowe owoce lśniły we mgle, płomienne i dumne.

Musiałam wystraszyć ptaki odpoczywające wśród liści bukszpanu. Na widok mojego niezgrabnego chodu, pośpiesznie wzbiły się w powietrze, machając skrzydłami w spowijającej otoczenie gęstej mgle. Naciągnęłam kaptur na oczy i zagwizdałam melodię. To była jego piosenka, jedna z wielu, które On wymrukiwał w ciemnych zakamarkach mojego umysłu. Stara, przesiąknięta smutkiem melodia przyjemnie rozbrzmiewała mi w uszach. Gdy ostatnie dźwięki wydostały się z moich ust, żałowałam, że to już koniec.

Sięgnęłam w głąb swojego umysłu – wyczuwałam ciemność. Jednak kiedy nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, skierowałam wzrok z powrotem na rozciągającą się przede mną ścieżkę.

Gdy droga stała się zbyt błotnista, weszłam w głąb lasu i zatrzymałam się przy krzaku jeżyn, pełnego czarnych, soczystych jagód. Zanim je zjadłam, wyciągnęłam z kieszeni talizman, kruszą nóżkę, i przesunęłam po niej palcami. Mgła mająca na skraju ścieżki kurczowo się mnie trzymała.

Mrówki, zanecone zapachem jagodowego soku, zaczęły wspinać się po moich lepkich od soku palcach. Chociaż starałam się strząsnąć je wszystkie i tak poczułam na języku cierpki, kwaśkowy smak – najwyraźniej musiałam połknąć kilka razem z owocami. Wytarłam ręce o sukienkę, której ciemny, bawełniany materiał pochłoniął jeżynowe plamy.

Ione czekała na mnie na końcu drogi, tuż na skraju lasu. Objęliśmy się, po czym ona złapała mnie za ramię, próbując dojrzeć moją twarz skrytą pod kapturem.

– Mam nadzieję, że nie zboczyłaś ze ścieżki, Bess?

– Tylko na momencik – odrzekłam, wpatrując się w roztaczające się przed nami ulice.

Stałyśmy na skraju Blunder, sieci wybrukowanych, wypełnionych sklepami zaułków napawających mnie o wiele większą grozą niż majaczący za moimi plecami ciemny las. Po tygodniach spędzonych w domu położonym w środku lasu miejski gwar, składający się z mieszanki ludzkich i zwierzęcych odgłosów, głośno dźwięczał mi w uszach. Przed nami szybko przejechał powóz, końskie kopyta głośno uderzały o starą, kamienną drogę. W budynku, koło którego stałyśmy, trzy piętra nad nami jakiś mężczyzna wylał przez okno pomyje. Brudna woda rozprysnęła się na wszystkie strony, w tym na rąbek mojej czarnej sukienki. Gdzieś rozbrzmiewał płacz dziecka oraz podniesione głosy kobiet. Stojący przy swoich kramach kupcy donośnie zachwalali swoje towary, w oddali zabił dzwon, a miejski krzykacz relacjonował najnowsze wieści o trzech aresztowanych rozbójnikach.

Wciągnęłam powietrze, klucząc uliczkami za Ione. Zwolniłyśmy tempo przy kupieckich straganach, przesuwając palcami po nowych materiałach, wystających zza sklepowych witryn. Ione zapłaciła miedziaka za kilka różowych wstążek i uśmiechnęła się do sprzedawcy, odslaniając niewielką przerwę między przednimi zębami. Obecność tej dziewczyny działała na mnie kojąco.

Byłam bardzo przywiązana do mojej złotowłosej kuzynki.

Nie mogłyśmy się od siebie bardziej różnić. Ona była szczerą – prawdziwą. Dało się czytać z jej twarzy jak z otwartej książki, podczas gdy moje myśli skrywała starannie wyćwiczona maska. Ona była żywa pod każdym względem, głośno wyrażała swoje potrzeby, niepokoje i wszystko inne. Miała w sobie tego rodzaju swobodę, która przyciągała do niej i ludzi, i zwierzęta. Zdawało

się, że nawet drzewa ulegały jej czarowi, dostosowując ruch gałęzi do jej kroku. Wszyscy ją kochali. A ona kochała ich. Nawet jeśli jej to szkodziło.

Ione nie udawała. Ona po prostu istniała.

Zazdrościłam jej tego. W porównaniu do niej przypominałam raczej wystraszone zwierzątko, cały czas niespokojne. Dlatego potrzebowałam Ione, mojej ciepłej i spokojnej tarczy. Szczególnie w dni takie jak ten, dzień mojego imienia, kiedy odwiedzałam dom ojca.

Głęboko w zakamarkach umysłu rozbrzmiał dźwięk zgrzytających zębów. Zawtórowałam mu, robiąc to samo, jednocześnie zaciskając dłonie w pięści, jednak nic to nie dało – nie byłam w stanie kontrolować jego pojawiania się i znikania. W tej samej chwili przepychający się obok mnie chłopiec zbyt długo utkwiał spojrzenie w mojej twarzy. W odpowiedzi posłałam mu fałszywy uśmiech i odwróciłam się, przesuwając palcami po zmarszczonych brwiach, dopóki nie poczułam, że moja twarz nie wyraża żadnej emocji. To była sztuczka, którą mistrzowsko opanowałam przez lata wpatrywania się w lustro – modelując twarz niczym glinę, aż nie osiągnęłam oczekiwanego efektu – powściągliwego, niczym niewyróżniającego się wyglądu osoby niemającej nic do ukrycia.

Czułam Go, jak obserwuje Ione moimi oczami. Odezwał się w końcu gładkim głosem: Złotowłose dziewczę lico ma bez skazy. Złotowłose dziewczę zbyt zwyczajne jest na królewskie pokazy. Złotowłose dziewczę w cieniu pominięta. Złotowłose dziewczę serca króla nie spęta.

Cicho, zwróciłam się do niego, odwracając się plecami do kuzynki.

Ione nie miała pojęcia, co zrobiła ze mną infekcja. W każdym razie nie wiedziała, w jak wielkim stopniu na mnie wpłynęła. Nikt o tym nie wiedział. Nawet moja ciotka Opal, która wzięła mnie do siebie, kiedy majaczyłam, targana gorączką. Natomiast

w nocy, kiedy mój stan się pogorszył, wciskała we mnie w szparę pomiędzy drzwiami a podłogą i nie otwierała okien, żebym nie obudziła pozostałych dzieci swoim płaczem. Dawała mi wywary nasenne i okładała moje palące żyły zimnymi kompresami. Czytała książki, które kiedyś dzieliła z moją mamą. Kochała mnie i opiekowała się pomimo konsekwencji, jakie wiązały się z ukrywaniem zarażonego dziecka.

Gdy w końcu udało mi się wyjść z pokoju, mój wuj i kuzyni wpatrywali się we mnie w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak magii – czegokolwiek, co mogłoby mnie zdradzić.

Jednak ciotka była stanowcza. Rzeczywiście, złapałam gorączkę, której tak się obawiano w Blunder, ale to by było na tyle – infekcja nie pozostawiła po sobie magii. Ani Hawthornowie, ani nowa rodzina mojego ojca nie zostaliby uznani za winnych ukrywania zarażonego dziecka tak długo, jak całe to zdarzenie pozostawało tajemnicą.

Dzięki temu, ja mogłam pozostać przy życiu.

Właśnie w taki sposób tworzyło się najlepsze kłamstwa – dodając odpowiednio małą ilość prawdy, żeby całość brzmiała wystarczająco wiarygodnie. Po pewnym czasie sama zaczęłam wierzyć, że nie dysponuję żadną magią. Ostatecznie nie wykazywałam żadnych oczywistych oznak, które zazwyczaj towarzyszyły zainfekowanym – żadnych nowych magicznych umiejętności czy niecodziennych przeżyć. Dorastałam w naiwnym przeświadczeniu, że byłam jedynym dzieckiem, które przeżyło infekcję bez szwanku.

Ale ten czas starałam się wymazać z pamięci – okres mojej niewinności, przed Kartami Opatrzności.

Przed Koszmarem.

Jego głos uleciał w nicość, pozostawiając po sobie jedynie cichy cień obecności, majaczący na obrzeżach mojego umysłu. Umysł na powrót stał się tylko mój, zgiełk miasta ponownie roz-

brzmiał w moich uszach, a ja dalej podążałam za Ione, mijając kupieckie stragany na Market Street.

Przy kolejnym zakręcie do naszych uszu dotarł ostry dźwięk. Ktoś krzyczał. Gwałtownie uniosłam głowę. Ione podeszła do mnie.

– Kawaleria – oświadczyła.

– To albo Orithe Willow¹ i jego uzdrowiciele – odpowiedziałam, przyspieszając kroku i jednocześnie rozglądając się po drodze w poszukiwaniu białych kitli.

Rozbrzmiał kolejny krzyk, jego ostry, przeszywający ton sprawił, że uniosły się włoski na moim karku. Odwróciłam głowę w kierunku wybrukowanej, przepelnionej ulicy, ale Ione odciągnęła mnie na bok. Jedyne, co udało mi się dostrzec, zanim zniknęliśmy za kolejnym zakrętem, była kobieta. Z jej szeroko otwartych ust wydobywało się pozbawione słów zawodzenie, a z rozchyłonego rękawa szaty wyłaniały się ręce pokryte czarnymi żyłami.

Chwilę później zniknęła za czterema mężczyznami w czarnych szatach – kawalerii, elitarnego oddziału królewskich żołnierzy. Krzyki towarzyszyły nam przez całą drogę, którą przebiegaliśmy przez kręte uliczki miasta. Gdy wreszcie dotarliśmy do bramy przed Spindle² House, zarówno Ione, jak i mnie brakowało tchu.

Dom mojego ojca był najwyższy na całej ulicy. Stałam przy bramie, a krzyki nadal dźwięczały mi w głowie. Ione, z policzkami zaróżowionymi po biegu, uroczo uśmiechnęła się do strażnika.

Ogromna drewniana brama stanęła otworem, a naszym oczom ukazał się szeroki, ceglany dziedziniec.

Weszliśmy, Ione szła pierwsza. Na środku wyłożonego piaskowcem dziedzińca rósł stary krzew trzmieliny, zasadzony przez dziadka mojego dziadka. W przeciwieństwie do szkarłatnego krzewu zdobiącego sztandar domu, ten znajdujący się na dziedzińcu nadal porastał zielonym listowiem. Błyszczące, spra-

¹ Willow (z ang.) – wierzba (przyp. tłum.).

² Spindle (z ang.) – trzmielina (przyp. tłum.).

wiające wrażenie nawoskowanych liście, kurczowo trzymały się wątych gałązek. Uniosłam rękę i ostrożnie dotknęłam jednego z nich, uważając na rząd drobnych ząbków otaczających ich krawędzie. To nie było wielkie królewskie drzewo; było za to bardzo stare – dostojne.

Obok krzewu trzmieliny, rosła niewielka, jeszcze niewyrośnięta jarzębina.

Z kolei w północnej części dziedzińca znajdowały się stajnie, a po drugiej stronie zbrojownia. Nie zapuszczałyśmy się w żadne z tych miejsc, tylko ruszyłyśmy prosto w kierunku głównego wejścia. Kiedy dotarłyśmy do kamiennych stopni znajdujących się od frontu, wzięłam głęboki wdech, zapanowałam nad wyrazem twarzy, po czym zapukałam trzy razy w wielkie dębowe drzwi.

Powitał nas lokaj ojca.

– Dzień dobry – powiedział Balian, a jego brązowe oczy zwięzły się, gdy skierował na mnie spojrzenie.

Zarówno on, jak i inni służący pracujący w domu mojego ojca dawno temu nauczyli się obawiać najstarszego dziecka z rodu Spindle.

Minęły lata od mojej ostatniej wizyty. Mimo to, mdłe kolory wypełniające wnętrza rezydencji wyglądały znajomo, a ściany i podłogi pokrywały te same gobeliny i dywany. Balian zapalił świecę i ruszył, a ja wraz z Ione podążałyśmy za nim burgundową klatką schodową o długiej i szerokiej poręczy. Do tej pory nie zastanawiałam się, jak bardzo uwielbiałam zjeżdżać po niej jako mała dziewczynka ani nad tym, że od tamtego czasu dom ojca nawet trochę się nie zmienił.

W ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

Balian otworzył zaokrąglone drzwi prowadzące do salonu. Mogłam poczuć zapach paleniska, zanim zarejestrowałam na twarzy podmuch ciepła buchającego z kominka, aromatyczny zapach cedru połąskotał mnie w nos. W środku znajdowała się

moja macocha, Nerium i moje przyrodnie siostry Nya i Dimia, które na nasz widok wstały z miękkich foteli.

Na ustach bliźniaczek widniały takie same delikatne uśmiechy, w ich pulchnych policzkach pojawiły się idealne dołeczki, które przywodziły mi na myśl przede wszystkim ojca, głównie dlatego, że twarz ich matki, Nerium, nie była stworzona do uśmiechów. W tej samej chwili macocha spojrzała na mnie, nawijając na eleganckie palce pasma długich, białych włosów.

Wyglądała jak przepiękny sęp, przyczajona na ulubionym krześle niczym na grzędzie. Siedziała, bacznie obserwując każdy mój ruch błękitnymi oczami i oceniając, czy byłabym wystarczająco smakowitym kąskiem, by warto było się na niego połasić.

Ione, która weszła przede mną, zasłoniła Nerium widok.

Objęłam delikatnie Nyę i Dimię. Dziewczynki przytuliły się bardzo ostrożnie, starając się zachować między naszymi ciałami niewielki dystans. Kiedy Balian zamknął za sobą drzwi, razem z Ione zajęłyśmy nasze miejsca na bogato tapicerowanych fotelach, stojących niedaleko paleniska.

Siedząc, czułam żar bijący od ognia.

Zachowywaliśmy się tak jak zwykle, spokojnie i dystyngownie niczym aktorzy odgrywający swoje role.

Na stoliczku znajdującym się niedaleko mojego fotela stał wazon pełen ciemnofioletowych irysów. Przesunęłam palcami po ich płatkach, starając się ich nie zniszczyć. Odkąd pamiętam, w salonie zawsze były irysy.

– Cóż za nijakie kwiaty – przerwała ciszę Nerium, nadal mnie obserwując. Jej oczy się zwęziły, gdy przesunęła wzrok na irysy.
– Nie wiem, co takiego widzi w nich twój ojciec.

Moje wnętrzości zacisnęły się boleśnie. Większość zawsze tak starannie dobieranych słów, które kierowała do mnie macocha, były podszyte jadem. Dobrze wiedziała, dlaczego akurat te kwiaty zawsze się tutaj znajdowały. Mój ojciec trzymał je w domu z bardzo prostego powodu.

Irys, tak nazywała się moja matka.

– Moim zdaniem są cudowne – wtrąciła Ione, posyłając mi uśmiech, po czym rzuciła mojej macosze złośliwe spojrzenie.

Dimia, która często wybuchała śmiechem, gdy nie wiedziała, co się dzieje, wydała się z siebie nerwowy chichot.

– Dobrze wyglądasz – zwróciła się do Ione, przysuwając się bliżej niej. – Czy to nowa sukienka?

Czułam na sobie spojrzenie Nyi siedzącej w drugim końcu pokoju i wpatrującej się we mnie, jakbym była książką, której zakazano jej czytać. Kiedy spojrzałam jej w oczy, szybko odwróciła wzrok, jej twarz wyrażała czujność.

Moje przyrodnie siostry nie pały do mnie miłością. A nawet jeśli kiedykolwiek żywiły do mnie cieplejsze uczucia, te już one zniknęły. Dimia i Nya miały po trzynaście lat, o siedem mniej ode mnie, i były identyczne niemal pod każdym względem, poza charakterystycznym znamieniem, które Nya miała pod lewym uchem. Obydwie obserwowały mnie przez całe moje życie z takim samym ostrożnym wyrazem malującym się na ich twarzach. Tylko siebie nawzajem obdarzały dobrymi siostrzanymi uczuciami.

Wymieniłam z Dimią grzecznościowe puste formułki, czując przy tym tak przejmujące zimno, że nie był go w stanie odgonić nawet palący się obok mnie ogień w kominku. Powiedziała, że zostały zaproszone na Ekwinokcjum, organizowane na królewskim zamku.

– Uwielbiam Ekwinokcjum – powiedziała Dimia. Głos miała donioślejszy niż jej siostra czy matka.

Jej oczy lśniły marzycielsko, kiedy sięgała po jeden z biszkopików leżących na końcu stołu. Gdy się odezwała, kilka okruszków wypadło jej z ust:

– Ta muzyka, tańce, gry!

– Nie wszystkie gry są przyjemne – zauważyła Nya, wycierając pozostałości biszkopta z kącika ust siostry bliźniaczki. – Pamiętasz, co się wydarzyło rok temu?

Nozdrza macochy zadrżały. Ione zmarszczyła brwi, a Dimia zaczęła szarpać brzeg swojego rękawa. Z kolei ja wpatrywałam się w nie z pustym wyrazem twarzy. Nie brałam udziału w ubiegłorocznej imprezie.

– Książę Hauth lubi grać w „prawda czy fałsz” za pomocą swojej Karty Kielichów – wyjaśniła Nerium, nie kłopotząc się spoglądaniem w moim kierunku. – Doszło do walki pomiędzy nim a członkinią kawalerii, chyba Jespyr Yew. Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego król ma w swoich szeregach kobietę...

Nadchodzi twój ojciec.

Głos Koszmaru w mojej głowie sprawił, że gwałtownie podskoczyłam. Poczułam jego obecność i to, jak porusza się nerwo-wo tuż za moimi oczami. *Jak możesz tego nie widzieć?*

Siedziałam kompletnie nieruchomo, pozwalając swoim powiekom opaść. Tam, pośród ciemności, dostrzegłam przybierające na sile światło w kolorze królewskiego błękitu: to jedna z Kart Opatrzności – Karta Studni. Wyglądała jak szafirowa lantarna morską, unosząca się nad ziemią, najpewniej schowana w kieszeni mojego ojca. Podobnie jak inne Karty Opatrzności, ona też była obszyta aksamitem i miała wielkość zwyczajnej karty do gry, czyli była nie większa niż moja zaciśnięta pięść.

To właśnie ten starożytny aksamit wydzielał światło. Światło, które tylko ja widziałam. A raczej, które dostrzegało stworzenie mieszkające w moim umyśle.

Zawierając małżeństwo z moim ojcem, matka wniosła w posagu Kartę Studni, wartą tyle złota co całe Spindle House. To była jedna z dwunastu Kart Opatrzności, które razem tworzyły Talię. Opisanie w starożytnej księdze, Starej Księdze Olch, Karty Opatrzności były nie tylko największym skarbem Blunder, ale także jedyną dopuszczalną formą uprawiania magii. Każdy mógł ich używać – wystarczyło dotknąć którejś z Kart i zażyczyć sobie konkretnej rzeczy. Oczyścić umysł, trzymaj Kartę w dłoni, stuknij w nią trzykrotnie, a będziesz mógł się nią posługiwać.

Nawet jeśli włożysz kartę do kieszeni albo umieścisz ją gdzie indziej, magia nadal będzie działać. Jeśli ponownie trzy razy stukniesz w Kartę, lub jeśli dotknie jej inna osoba, przepływ magii zostanie zerwany.

Należało przy tym pamiętać, że zbyt długie korzystanie z Karty wiązało się z poważnymi konsekwencjami.

Karty Opatrzności były niezwykle rzadkie, a ich liczba ograniczona. Jako dziecko miałam okazję tylko rzucić na nie okiem.

I tylko raz w życiu jakiegokolwiek dotknęłam.

Zadrzałam, nadal czując mentalne łaskotanie wywołane bliskością aksamitu otulającego Kartę mojego ojca. Niebieskie światło Karty Studni przybrało na sile. Kiedy drzwi od salonu się otworzyły, blask bijący z kieszeni na piersi jego kurty rozbłysnął, wlewając się do środka.

Eryk Spindle. Pan jednego z najstarszych rodów Blunder. Wysoki, surowy, przerażający. A najbardziej przerażające było to, że mój ojciec przewodził niegdyś polowaniom na ludzi noszących w sobie magię – takich jak ja.

Kawalerzysta do szpiku kości.

A jednak był dla mnie kimś więcej niż żołnierzem – moim ojcem. Tak jak jego przodkowie zachowywał wyjątkową oszczędność w słowach. Ale kiedy już zdecydował się odezwać, jego głos brzmiał głęboko i ostro.

Pokryte siwizną włosy, związane skórzanym rzemykiem, opadały mu na kark. Podobnie jak w przypadku Nerium jego szczeka również nie została stworzona do uśmiechania się. Jednak kiedy jego wzrok spoczął na mnie, ostre spojrzenie błękitnych oczu natychmiast złagodniało.

– Elspeth – zwrócił się do mnie.

Wyciągnął trzymaną za plecami dłoń, w której zaciskał naręczę dzikich kwiatów. Krwawników. W porównaniu do jego wielkiej pięści, trzymany przez niego bukiet zdawał się niezwykle delikatny.

– Wszystkiego najlepszego z okazji dnia imienia.

Poczułam ukłucie w klatce piersiowej. Cały czas, po tylu latach – po śmierci mojej matki, po moim zainfekowaniu – zawsze wręczał mi krwawniki w dzień mojego imienia. W dzieciństwie nazywał mnie dziewczynką „najjaśniejszą pośród wszystkich krwawników”.

Wstałam z fotela i ruszyłam w jego kierunku, oślepiąca niebieskawym światłem przenikającym przez materiał kurty. Kiedy wręczył mi kwiaty, dotarł do mnie leśny, świeży zapach. Musiał je zerwać z samego rana.

Starałam się zbyt długo nie patrzeć mu w oczy, żeby nie wprawić nas w jeszcze większe zakłopotanie.

– Dziękuję, ojcze.

– Zamierzałyśmy spotkać się z tobą w holu – zwróciła się do niego uszczypliwie moja macocha. – Czy coś się stało?

Twarz ojca nie zdradzała żadnej emocji.

– Przyszedłem przywitać się z moją własną córką w moim własnym domu, Nerium. Czyżbyś miała coś przeciwko temu?

Usta mojej macochy zamknęły się z trzaskiem. Ione zakryła ręką twarz, skrywając uśmiezek.

O mało sama się nie uśmiechnęłam. Wiedziałam, że nie powinnam cieszyć się z tego, że mój ojciec się za mną wstawia. Nie aż tak. Silniejszy od chęci uśmiechnięcia się, był ostry ból zagnieżdżony głęboko w mojej piersi, który nawet teraz przypominał mi o wydarzeniach z przeszłości.

Ponieważ nie zawsze mój ojciec się za mną wstawiał.

W drzwiach pojawiła się łysiejąca głowa Baliana.

– Mój panie, obiad podano do stołu. Pieczona kaczka.

– Przejdźmy do holu. – Ojciec kiwnął głową.

Moje przyrodnie siostry opuściły salon, podążając za głową rodziny. Ione poszła za nimi, a ja ruszyłam tuż za nią. Jednak zanim udało mi się wyjść, Nerium zagrodziła mi drzwi, a jej szczerpłe palce wpiły się w moje ramię.

– Twój ojciec życzy sobie, żebyś w tym roku wzięła udział w Ekwinokcjum – wyszeptała, upiornie przeciągając słowa. – Na który oczywiście się nie wybierzesz.

Moje spojrzenie spoczęło na dłoni ściskającej moje ramię.

– A niby to dlaczego. Nerium?

Zwężała błękitne oczy.

– Jeśli dobrze sobie przypominam, kiedy byłaś na Święcie Równonocy po raz ostatni, zrobiłaś z siebie idiotkę z tym chłopcem, którego matka później nas nagabywała, żebyście mogli się ponownie spotkać.

Skrzywiłam się. Prawie zapomniałam o Alyxie. To wydarzyło się lata temu.

– Mogłaś jej po prostu powiedzieć, gdzie naprawdę mieszkam.

– I tłumaczyć się ludziom, dlaczego twój ojciec cię odesłał? – Wokół jej ust pojawiły się głębokie zmarszczki. – Mamy takie dobre porozumienie, Elspeth. Ty trzymasz się z dala od dworu i wszelkiej uwagi, a w zamian twój ojciec płaci Hawthornom, sownie, jeśli mogę dodać, za to, że cię u siebie trzymają.

Trzymają. Jak gdybym była koniem, którego mój wuj skrywa w swojej stajni. Wyszarpnęłam rękę z uścisku macochy. Apetyt, jaki jeszcze chwilę temu odczuwałam, zniknął bez śladu. Zerknęłam ponad jej barkiem w poszukiwaniu Ione, ale moja kuzynka zniknęła w holu.

– Nagle straciłam ochotę na kaczkę – wycedziłam przez zęby i odsunęłam się od Nerium.

Wychodząc z salonu, trzasnęłam za sobą drzwiami.

– Jestem pewna, że mnie usprawiedliwisz.

– Ależ oczywiście, moja droga, zawsze to robie. – Mogłam usłyszeć uśmiech w jej miękkim, podstępny głosie.

Zachowałam spokój, dopóki nie opuściłam Spindle House. Dopiero gdy zamknęły się za mną ogromne drzwi, pozwoliłam sobie na płacz.

Trzymałam głowę nisko, a gorące łzy spływały mi po policzkach, kiedy pobiegłam w stronę starego kościoła, znajdującego się na skraju miasta. Płuca paliły mnie z wysiłku, ale zatrzymałam się dopiero, gdy dotarłam do pustych uliczek.

Kaszląc, oparłam ręce na kolanach. Wściekłość zmieszana z bólem wypełniła moją pierś.

Koszmar wił się w ciemności niczym wilk wydeptujący legowisko, zanim się położy.

Wielka szkoda, że musieliśmy już iść, powiedział. Ubawiła mnie twoja porywająca rozmowa z Nerium.

Czubkiem buta kopnęłam leżący na bruku kamień, który zniknął w wysokiej trawie porastającej pas ziemi oddzielający drogę od płynącej niedaleko rzeki.

Ale nie martw się, szybko się z nią znowu spotkasz. Pytanie brzmi, czy po raz kolejny uciekniesz z podkulonym ogonem.

Oczekujesz, że spokojnie będę tam siedzieć? Po tym, co mi powiedziała?, zapytałam.

Dokładnie tak. Ponieważ ucieczka, moja droga, jest tym, czego ona chce.

Unikanie ich jest łatwiejsze. Wypuściłam powietrze. Uciekanie jest tym, co wychodzi mi najlepiej, to moje naturalne zachowanie. Poza tym jedenaście lat temu mój ojciec by mnie nie opuścił, gdyby miał ochotę na moje towarzystwo. Dobrze o tym wiesz – więc czemu miałabym znosić te katusze?, dodałam głuchym głosem.

Jego śmiech rozbrzmiał niczym szmer kropel wody głośno spływających po kamiennej ścianie jaskini. Odbijał się echem w mojej głowie, po czym powoli rozpląnął w ciszy.

Ponieważ, właśnie to, moja droga, jest MOIM naturalnym zachowaniem.

Usiadłam nad brzegiem rzeki, rozkoszując się łagodnym szumem płynącej wody. Nadal trzymając bukiet krwawników, zaczęłam obrywać żółte płatki, jeden po drugim. Kiedy zgłod-

niałam, kupiłam sobie jabłko i kawałek ostrego sera i siedziałam tak, dopóki słońce nie zaczęło chylić się nisko na niebie. Żywiłam niewielką nadzieję, że Ione może wyjdzie wcześniej z domu mojego ojca i dołączy do mnie – dzięki czemu mogłybyśmy wrócić razem do domu – ale miejskie dzwony zabiły siedem razy, a jej nadal nie było.

Zaplotłam włosy w gruby warkocz, po czym wstałam i otrzepałam brud z tyłu spódnicy. Po raz ostatni rzuciłam spojrzenie w kierunku drogi prowadzącej do miasta, a następnie dotknęłam kruczej łapki spoczywającej w kieszeni i wkroczyłam do lasu.